

0 aniołach biznesu i kupczeniu edukacją

28 marca 2011

Wszyscy już wiemy, że polska nauka i edukacja przeżywają głęboki kryzys. Co ciekawe, wie to także minister nauki i szkolnictwa wyższego, Barbara Kudrycka. Wszyscy już wiemy, że europejska nauka i edukacja przeżywają kryzys. Co ciekawe, wie to także europejska komisarz ds. edukacji, kultury, wielojęzyczności i młodzieży, Androulla Vassiliou. Ciekawe, bo zmiany, które rekomendują i wprowadzają obie panie, służą raczej wsparciu przyczyn obecnego kryzysu oraz pogłębieniu niekorzystnych procesów toczących świat nauki i edukacji. Powstaje pytanie: jakie są szanse nauki i edukacji na skomercjalizowanym rynku idei?

Obecna kondycja polskich uczelni woła o pomstę do nieba, czyli – w bardziej postępowej terminologii – o pomstę do rynku. Postaram się wskazać tutaj co najmniej trzy, wzajemnie warunkujące się i powszechnie rozpoznawane zjawiska, które nie tylko stoją za kryzysem szkolnictwa wyższego i nauki, ale, co szczególnie istotne, służą także uprawomocnieniu neoliberalnej ingerencji w procesy edukacyjne.

Przede wszystkim mamy więc do czynienia z całkowitą utratą kontroli nad tematyką badań podejmowanych przez naukowców. Gdy brakuje pomysłów na sam zakres badań, na tematy doktoratów i habilitacji, gdy brak kreatywności w zakresie praktyki badawczej, pozostaje ucieczka bądź to w hiperspecjalizację – czyli podejmowanie wątków na tyle egzotycznych, by mieć pewność, że nikt wcześniej się tym nie zajmował – bądź w spekulację – czyli, niejednokrotnie niemal losowe, błędzenie po rubieżach abstrakcji i piętrzenie teoretycznych dyskursów. Oczywiście, nigdy nie można mieć pewności, czy aby tym sposobem zdesperowany badacz nie dokona odkrycia przełomowego. W sytuacji jednak, gdy ani w skali wydziałów, ani w skali

uczelni, ani w skali kraju, nie ma jasno określonej polityki badawczej, ta całkowita swoboda twórcza, sprzyja raczej penetrowaniu ślepych zaułków, niż inicjacji prekursorskich trendów badawczych. Fenomen ten dotyczy zwłaszcza nauk humanistycznych i społecznych, na których niedostatki koncepcyjne kompensuje się zwykle nawarstwieniem technicznej nowomowy, płataniną odwołań do tekstów klasyków i autorytetów, oraz pustą multiplikacją dyskursu. W efekcie bardziej uzasadnione wydają się głosy podatników sprzeciwiających się utrzymywaniu darmozjadów, rynek zaś zyskuje argument, który erystycznie wymierza przeciwko humanistyce jako takiej.

Mechanizm ten jest z kolei potęgowany przez inne zjawisko, a mianowicie szerzące się na uczelniach, coraz częściej otwarcie komentowane, korupcję i nepotyzm. Niedouczeni pozoranci, którym uda się zrobić karierę, wciągają do gry kolejnych, przyczyniając się do upadku autorytetu akademii jako takiej. Oczywiście, załatwianie znajomym ciepłych posad na uczelniach niczym nie wyróżnia się na tle innych branż i w zasadzie roztopia się w powszechnej praktyce koleżeńskich przysług, które mogą liczyć na szerokie przyzwolenie społeczne. W tym przypadku nie trudno wskazać ludzi pozbawionych twarzy i elementarnej moralności. Jak wiemy, przykładowo w roku 2010 dla kompromitacji środowisk akademickich największe zasługi miał rektor Akademii Medycznej we Wrocławiu, Ryszard Andrzejak. Bo jak wiadomo, przeżywamy obecnie prawdziwą plagę plagiatów – poczynając od studenckich wypracowań, a na habilitacjach kończąc. Trudno wyobrazić sobie, by te zjawiska nie miały przełożenia na funkcjonowanie całego systemu. Jak zresztą retorycznie pyta dr Andrzej Dybczyński w swojej spowiedzi grzesznika: „kto ponosi polityczną odpowiedzialność za milczące przyzwalanie Pani minister Barbarze Kudryckiej na forsowanie absurdałnej koncepcji reformy szkolnictwa wyższego? Koncepcji, która, co oczywiste dla każdego rozsądnego obserwatora mającego jakieś pojęcie o funkcjonowaniu szkolnictwa wyższego w innych krajach, nie rozwiąże problemów polskiej nauki, a jedynie pogłębi stan zapaści? Kto, jak nie

wy, Panie i Panowie senatorowie, członkowie Rad Wydziałów, rektorzy i dziekani, powinien organizować debatę wokół tych problemów?” [1].

PIENIĄDZE Z KLUCZA ZNAJOMOŚCI

Struktura organizacyjna polskiego szkolnictwa wyższego znajduje oczywiście odzwierciedlenie w patologicznej dystrybucji środków finansowych, która odbywa się według klucza znajomości. Najlepszym tego przykładem są granty badawcze, które przyznawane są w oparciu o rekomendacje powoływanych przez ministerstwo ekspertów. Ekspertów wybiera się spośród zasłużonego grona profesorów, którzy zazwyczaj nawet nie silą się na merytoryczne recenzje nadsyłanych projektów badawczych, w pocie czoła opracowywanych przez naiwnych początkujących naukowców. Projekty są niejednokrotnie odrzucane na podstawie kilkuzdaniowych recenzji sformułowanych w kolokwialnym języku z powodów takich jak: zbyt obszerna literatura, zbyt ambitny zakres badań, czy brak jakiejkolwiek podstawy do uzasadnienia zagranicznych wyjazdów badawczych w czasach, w których mamy dostęp do Internetu [2]. Wszystkie te patologie – co również oczywiste – znajdują w końcu swe odzwierciedlenie także w żelaznej logice rynku. Jeśli prześledzić medianę wynagrodzenia całkowitego w wybranych branżach w Polsce w roku 2010 według zestawienia firmy Sedlak & Sedlak, okaże się, że nauka i szkolnictwo zajmują przedostatnią pozycję (na 19 pozycji) z 2600 PLN brutto, zaś szkolnictwo wyższe piątą pozycję od końca z 3000 PLN brutto. Warto zwrócić uwagę, że oba wskaźniki wypadają istotnie poniżej mediany dla wszystkich badanych (3500 PLN brutto) [3].

Tym sposobem docieramy do trzeciego z sygnalizowanych mechanizmów uczelnianych, który można klasycznie określić jako „wyścig szczurów”. Wyścig szczurów toczy się więc między naukowcami, którzy z braku lepszych kryteriów oceny, ścigają się na liczbę publikacji. W efekcie jakość poszczególnych prac sukcesywnie obniża się, co swoją drogą jest raczej po myśli Ministerstwa, które jak wiemy nie przepada za projektami nadto

ambitnymi. Naukowcy, którym dane są 4 lata czasu na obronę doktoratu, a następnie 8 lat na habilitację, rzadko kiedy decydują się na podjęcie wymagających tematów również dlatego, że kiedy coś pójdzie nie po ich myśli, nie będzie już odwrotu i w trybie administracyjnym zostaną usunięci z uczelni. To również z tego powodu niepokojący odsetek powstających w Polsce prac naukowych koncentruje się na dowodzeniu oczywistości lub klasyfikacji przeszłości. Także i w tym wypadku sprawy najgorzej mają się na polu humanistyki, gdzie pisać można o wszystkim i wszystko, byle odwoływać się do klasyków i autorytetów. Jednak i na polu nauk ścisłych wielkie rezultaty padają zazwyczaj łupem badaczy zatrudnionych w laboratoriach przemysłowych, którzy realizując konkretne zadania rynkowe, mogą liczyć na finansowanie przez sektor prywatny. Wyjątek stanowią naukowcy, którzy w pewien sposób odcięli się od systemu, jak wielki rosyjski matematyk Grigorij Perelman, który po dokonaniu epokowego odkrycia, jakim było udowodnienie słynnej hipotezy Poincaré, zrezygnował z przyjęcia przyznanej mu nagrody w wysokości miliona dolarów.

Z wyścigiem szczurów mamy jednak do czynienia nie tylko w skali indywidualnej. O pieniądze ścigają się zarówno wydziały próbujące wykazać się jak najwyższą liczbą studentów, jak i całe uczelnie, które poddawane są ocenie przez zazwyczaj kompletnie chybione metodologicznie rankingi i raporty. Tym samym w coraz większym stopniu o losie edukacji decyduje mechanizm doboru naturalnego, przy czym kryterium selekcji staje się efektywność rynkowa. W tych okolicznościach jako pierwsze do likwidacji prawdopodobnie przeznaczone zostaną instytuty filozofii, których racja bytu z perspektywy gospodarki opartej na konsumpcji dóbr materialnych wydaje się być całkowicie nieuzasadniona. Jako następne pod neoliberalny młotek pójdą zapewne tak mało wydajne kierunki jak kulturoznawstwo, czy lingwistyka – chyba, że uchwycą się ostatniej deski ratunku, jaką jest przeobrażenie w narzędzie służące marketingowi kreatywnemu.

KULISY WRYNKOWSTĄPIENIA

Niestety, próżno szukać nadziei w Unii Europejskiej. Jak słusznie zauważył Nico Hirtt [4], rozwiązania proponowane przez komisarz Androurllę Vassiliou, zakładające poprawę kompetencji, koncentrację na potrzebach rynku, pomoc Europie w przystąpieniu do globalnego współzawodnictwa, odpowiedzieć na skutki kryzysu gospodarczego, jest wyrazem całkowitego braku zrozumienia mechanizmu kryzysu. Warto przy tym zwrócić uwagę, że pani Vassiliou, z prawdziwą wirtuozerią operując patosem, pustostłowiem i emocjami, zjednała sobie już nie jedno audytorium. Nie inaczej było na spotkaniu europejskiej sieci kulturalnej A Soul for Europe, która za priorytety swej działalności uznaje walkę o obywatelską Europę i wiodącą rolę kultury w kształtowaniu naszej tożsamości. W Berlińskiej hali Haus der Kulturen der Welt europejska komisarz w jednym rzędzie z europosłami, z podniesionym czołem i w zapalczym tonie, grzmiała z ambony prawiąc o kryzysie edukacji. Mało kto zwrócił uwagę, że rekomendowane przez nią remedia są tak naprawdę tą samą trucizną, która w ostatnich latach doprowadziła europejskiego pacjenta na skraj zapaści.

Pod nieobecność przemyślanej polityki państwa, w okolicznościach w których ministerstwo zrzeka się odpowiedzialności za dopasowanie systemu edukacji do obecnego rynku pracy, kiedy brakuje spójnej wizji rozwoju nauki, pomocną rękę coraz częściej wyciągają finansiści z sektora prywatnego. Jak bowiem wiadomo, edukacja i nauka to nie tylko brzemię obowiązku, ale także najważniejszy strategicznie obszar długofalowej polityki państwa. Przejęcie kontroli nad tym sektorem może przynieść gigantyczne zyski. Tym samym impotencja państwa w tym zakresie sprawia, że w trosce o zagubioną duszę edukacji do Polski zlatuje coraz więcej aniołów biznesu. Pozostaje pytanie: czy aby na pewno rynek wie co dobre dla nas i dla niego samego?

W czasach, w których kreatywność i oryginalność stały się dobrem deficytowym, wartość twórczych i niekonwencjonalnych

rozwiązań raptownie rośnie. W konsekwencji obserwujemy konsolidację rynku idei, który funkcjonuje w oparciu o rozwiązania liberalne. Liberalne jednak głównie co do deklaracji i to wyłącznie w zakresie wolności pojętej pozytywnie. W praktyce, podobnie jak w przypadku rynków towarowych, w obliczu tyranii kapitału boryka się on z wszystkimi klasycznymi formami braku wolności, jak komodyfikacja, manipulacja informacją czy monopolizacja.

Przede wszystkim należy zwrócić uwagę, że we współczesnych relacjach rynkowych coraz wyraźniej zaznacza się ich trójstronny charakter: obok dwójki kontrahentów mamy do czynienia również z pośrednikiem (np. w wersji „makler”). Nie jest przy tym tajemnicą, że informacja jest w kontekście mechanizmu wymiany handlowej dobrem najwyższym. Istotne, że to wyłącznie pośrednik, ów aktywny element relacji rynkowej, dysponuje informacją pełną. Nie inaczej sprawy mają się w przypadku rynku idei. Skoro zaś zazwyczaj wygrywa ten, kto rozdaje karty, toteż w ostatnim czasie na rynku idei jak grzybów po deszczu przybywa właśnie pośredników.

Doczekaliśmy się więc w Polsce od dawien dawna modnych na Zachodzie aniołów biznesu, dobroduszných organizacji, które wspaniałomyślnie biorą pod opiekę zarówno młodych twórców i pomysłodawców bez grosza przy duszy, jak i przytępawych potentatów, którym brak z kolei pomysłu na pomnożenie własnych zasobów. Tym sposobem, przy pełnej aprobachie społeczeństwa i entuzjastycznej asyście administracji uczelnianych oraz ministerstwa, nasze rodzime Anioły Biznesu Amber [5] czy Anioły Biznesu Lewiatan [6], wyręczają tych ostatnich z ich niewdzięcznej pracy.

Bardziej ambitni inwestorzy oraz zdesperowani odkrywcy mogą zdecydować się na jeszcze mocniejszą zagrywkę podpisując cyrograf na wschodzącym rynku New Connect. Dzięki temu narzędziu specjaliści od żonglowania cudzymi pieniędzmi z łatwością pozyskują atrakcyjne inicjatywy oraz obiecujące projekty, by po zapewnieniu sobie sówitej marży, sprzedać je

za bezcen zaprzyjaźnionemu inwestorowi. Zresztą naiwniactwów w maliny wpuszcza się łatwo – nieco bardziej natrudzić się trzeba z wytrawnymi biznesmenami, choć i tu wiele można zdziałać. Jak dobrze wie każdy sprawny statystyk, dowolną tezę dotyczącą popytu i podaży da się statystycznie uzasadnić, jeśli tylko człowiek się dostatecznie nagimnastykuje [7]. Weźmy tu jako przykład sieć (!) lodziarni Ibiza Ice Cafe [8], której strona internetowa oferuje pełny pakiet informacji poświęconych „relacjom inwestorskim” (tuż obok menu). Choć sieć składa się jak na razie tylko z dwóch [9] świecących pustkami lokali, to jednak zaliczyła dynamiczny start na rynku New Connect. Jak się więc okazuje, nawet bez jakiegokolwiek pomysłu na biznes, serca inwestorów można podbić. Niekiedy wystarcza atrakcyjna strona internetowa, garść umiejętności dobranych statystyk oraz kilka ruchów w odpowiednich sferach.

Jednak wolnorynkowa logika degeneruje współczesny rozwój idei także na wiele innych sposobów. Ze względu na dominację kryterium efektywności, tak uniwersytety, jak i komercyjne laboratoria badawcze, coraz rzadziej decydują się na projekty ryzykowne, wymagające wieloletnich badań, nawet jeśli w perspektywie mogłyby one przynieść znaczne zyski. W konsekwencji w praktyce badawczej nie wychodzi się poza dogmat i ortodoksję. Jak wskazuje Randall Stross, obecnie żadna firma poza Googlem nie inwestuje wielkich pieniędzy w wizjonerskie badania informatyczne [10]. Udziałowcy przyzwyczajeni do jednodniowych znacznych zysków, jakie oferują im np. rynki futures, nie mają zamiaru inwestować swych pieniędzy w coś, co może przynieść zysk za 10 lat, ale wcale nie musi. Decyzje są tu oparte nie o dobro nauki, czy ludzkości, ale o suchą kalkulację. A dlaczego Google stać na wielkie inwestycje? Na pewno dlatego, że jest firmą zarządzaną w sposób wyjątkowy przez wyjątkowych ludzi. Przede wszystkim jednak dlatego, że ma pozycję lidera rynku, a tym samym dysponuje odpowiednimi zabezpieczeniami finansowymi oraz cieszy się zaufaniem inwestorów. Tu docieramy do jeszcze jednego schorzenia: monopolizacji rynku idei.

NA STRAŻY KAPITALISTÓW IDEI

Giganci branży paliwowej, przemysłu farmaceutycznego, czy świata IT coraz skuteczniej i bardziej zachłannie akumulują kapitał, kapitał idei. Pomysły są podbierane, skupowane, generowane, a następnie patentowane. Wszystko to możliwe jest dzięki prawnie sankcjonowanemu zakazowi wymiany wolnej myśli, czyli rozrastającej się patologii w zakresie praw autorskich. Podobnie jak irracjonalną akumulację kapitału umożliwia irracjonalna wykładnia prawa własności, tak też obecnie obserwujemy tendencję do patologicznych przeobrażeń zapisów o prawie do własności intelektualnej. Dzięki umiejętnej manipulacji, na straży majątku kapitalistów idei stanęło państwo, czyli de facto sami obywatele, którzy ulegli powszechnej hipnozie kreującej postawy autodestrukcyjne. Ideologiczna zagrywka, jaką się tu wykorzystuje, opiera się dokładnie na tym samym triku, który skutecznie zniechęca ludzi do nakładania podatków na pławiących się w luksusach magnatów: „nie chciałbyś przecież, aby i tobie ktoś odbierał to, na co uczciwie zapracowałeś”. Jak znakomicie ujmuje to Daniel Bensaïd: „Informacja stała się nową formą kapitału, toteż nastąpiła eksplozja liczby składanych co roku wniosków patentowych. [...] Spółki zwane trollami patentowymi wykupują całe portfele patentowe, aby pod zarzutem podróbek ciągać po sądach producentów, którzy w swej działalności gospodarczej używają kompleksowych, posplatanych ze sobą zasobów wiedzy. Ta nowa forma grodzień, wymierzona w dostęp do wiedzy, jaką jest pogoń za patentami, spowodowała już powstanie prawdziwej bańki patentowej” [11].

Tym sposobem, dzięki wsparciu państwa, władzę nad wiedzą stopniowo przekazuje się w ręce rynku, a w zasadzie w jedną rękę i do tego niewidzialną. A choć ta uczy się wolno, bo wiedzie ją wyłącznie żądza doraźnego zysku, to po latach ewolucji dostrzegła także i wagę edukacji. Po omacku nauczyła się więc czegoś, czego wciąż dostrzec nie potrafią zastępy polskich urzędników. Kiedy ministerialna sowa mądrości w końcu

zdecyduje się wzlecieć, na zmiany może być już za późno. Problem polega jednak na tym, że choć rynek wie, co dobre dla niego dziś, to jak zdają się wskazywać przytoczone przykłady, nie ma bladego pojęcia, co dobre będzie jutro. Kierowanie się interesem zarządców informacji prowadzi do sytuacji, w której wszyscy się łudzą i wzajemnie oszukują. Studenci i naukowcy rozpoznawszy powierzchowne kryteria selekcji projektów formułowane przez inwestorów, markują kreatywność. Tym drugim bez ustanku mydli się oczy statystykami, które dobiera się według potrzeb maklera. Ostatecznie wszyscy zaś biorą udział w tym spektaklu wyłącznie po to, by zaspokoić swoją przerośniętą żądzę konsumpcji. Tą z kolei fabrykuje, lokujący się gdzieś w górnych partiach łańcucha konsumenckiego, przemysł reklamowy. Cały układ podlega permanentnej readaptacji, a spirala pozoru nakręca się bezustannie.

ŁATWE ZŁEGO POCZĄTKI

Tymczasem uruchomiono machinę medialnego wsparcia dla ministerialnej propagandy sukcesu. W grudniu 2010 r. o niewyobrażalnej wartości komercjalizacji wyników badań na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych jednym głosem przekonywały autorytety ze świata nauki, ekonomii i rynku pracy. Imprezie towarzyszyła prezentacja podręcznika dla naukowców Komercjalizacja B+R dla praktyków wydanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jak stwierdziła minister Kudrycka, „komercjalizacja badań naukowych to dla uczonego ogromna satysfakcja, efekt jego wysiłków przekuwa się na przydatne w codziennym życiu rozwiązania produkcyjne” [12]. Już wkrótce, z początkiem marca 2011 r., w Cambridge odbędzie się IV Kongres Polskich Stowarzyszeń Studenckich. Na liście gości ponownie znajdą się wielkie nazwiska reprezentujące ów jedynie słuszny pogląd na kwestię rozwoju edukacji: działalność szkół wyższych musi zostać zaadoptowana do modelu wolnorynkowego – dla ich własnego dobra.

Jaki jest zaś oficjalny priorytet rodzimego rynku idei? Jak czytamy na stronie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego,

celem nadrzędnym Strategii rozwoju nauki w Polsce do 2015 roku jest „wzrost międzynarodowej konkurencyjności polskiej nauki, rozumianej jako zdolność do rozwiązywania problemów badawczych na poziomie uznawanym za wysoki przez międzynarodowe środowiska naukowe oraz zdolność do tworzenia rozwiązań gotowych do zastosowania w warunkach konkurencyjnej, międzynarodowej podaży innowacji społeczno-gospodarczych”. Jak przy tym wiemy, sama Strategia Rozwoju Nauki formalnie podporządkowana jest celom Strategii innowacyjności i efektywności gospodarki. Jeśli przy tym zastanowić się jaką „gospodarkę” ma się tu na myśli, trudno być optymistą. Ale, jak to mówią, dobrze to już było. Kolejne strategie mają bowiem uwzględnić treść rozmaitych ekspertyz sporządzanych na zamówienie ministerstwa. O jednej z nich była już tutaj zresztą mowa.

W istocie konsekwentne próby podłączania polskiej nauki i edukacji do neoliberalnego krwiobiegu trwają nieprzerwanie od przeszło 30 lat. Mimo alarmujących wyników międzynarodowych raportów PISA [13], dowodzących niekwestionowanej przewagi edukacji egalitarnej, wciąż podtrzymuje się wzorce pedagogiczne promujące indywidualizm. Inwestuje się w jednostki obiecujące, by stały się wybitne; eksponuje się to, co najlepsze, a ukrywa to, co wstydliwe; wspiera się elitę, resztę zaś spisuje na straty. Za sprawą ministerialnych rekomendacji opartych na rynkowych kanonach pomiaru efektywności, stopniowo coraz bardziej marginalizowane są te dziedziny nauki, które odpowiadają za wykształcanie postaw krytycznych oraz za rozwój politycznej świadomości obywateli. Jeśli jednak spojrzeć realnie, to trzeba przyznać, że kompetencje te wcale nie są niezbędne do sprawnego funkcjonowania rynku – nikt nie wymaga by konsumenci i producenci myśleli. Zaś z perspektywy ministerstwa, triumfalne scedowanie odpowiedzialności na prężne i lśniąco medialnie podmioty wolnorynkowe wydaje się rozwiązaniem rozsądnym – nie trzeba przynajmniej sobie brudzić rąk pracą u podstaw. A że niewidzialna ręka się pobrudzi? Dla niej i tak to bez różnicy.

ATROFIA KREATYWNOŚCI

Mimo wszystko ktoś nadal mógłby mieć wątpliwości: co właściwie jest złego w tym, że młodzi ludzie znajdują zatrudnienie, a naukowcy otrzymują wsparcie dla swoich projektów? Otóż nie ma w tym niczego złego dopóki demokratyczne struktury państwa zachowują kontrolę nad tymi procesami. Jednak komercjalizacja idei pozostawiona samopas, a raczej na postronku kapitału, jej komodyfikacja, to zarazem jej ubezwłasnowolnienie i oddanie we władanie reżymu efektywności rynkowej. Komercjalizacja idei skrywa w sobie także stopniowe ubezwłasnowolnienie tych właśnie studentów, wynalazców i naukowców. Powierzenie decyzji dotyczących naszej przyszłości zawodowej rynkom finansowym oznacza bowiem w dalszej perspektywie utratę kontroli nad kierunkiem rozwoju naszego życia tak w wymiarze indywidualnym, jak i społecznym. Komercjalizacja idei to również jej monopolizacja prowadząca do absurdów, takich jak prezenty sprawiane koncernom w postaci patentów na uprawę zbóż, które rolnicy uprawiają od niepamiętnych czasów. To przy tym nie tylko patenty „na genetycznie modyfikowaną bawełnę, ale również na wszelką modyfikację genu bawełny, czyli innymi słowy 'nawet na samą myśl, że można zmodyfikować gen bawełny'” (tu np. patent dla firmy Agracetus) [14]. Komercjalizacja idei to ostatecznie także jej logiczne zaprzeczenie prowadzące do atrofii nieskrępowanej kreatywności.

Dokonując bilansu całego procesu wytwarzania kapitału intelektualnego, trzeba wziąć pod uwagę fakt, że praca wyszkolonych pracowników, pomysłowych adeptów uczelni, czy naukowców to efekt wielu dziesięcioleci działalności opartego na finansach publicznych systemu, który obecnie próbuje się zakwestionować. Tendencja do rezygnacji z uspołecznionego charakteru procesów edukacyjnych nie znajduje przy tym żadnego racjonalnego uzasadnienia [15]. Co więcej, oddawanie sektorowi prywatnemu za bezcen kapitału idei, który jest w pewnym sensie rezultatem pracy nas wszystkich, wydaje się co najmniej lekkomyślne. Nie tyle zatem powinniśmy dbać o komercjalizację

wyników badań, co raczej systemowo regulować pobór środków finansowych, które przeznaczane byłyby na rozwój nauki i edukacji. Zarazem jednak dostęp do zdobyczy intelektualnych nie powinien być w żaden sposób limitowany, o ile rzeczywiście ma służyć dobru społeczeństwa, a nie rynkowym przepychankom. Jest jeszcze coś, coś wyjątkowego dla edukacji. Ustępstwo w tych właśnie dwóch kwestiach, prywatyzacji szkolnictwa i komercjalizacji idei, oznaczać może, że za pół wieku nie będzie już nikogo, kto będzie w stanie zdobyć się na jakąkolwiek krytyczną refleksję.

Autor: Roland Zarzycki

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

O AUTORZE

Roland Zarzycki – matematyk i filozof, Uniwersytet Wrocławski.

PRZYPISY

[1] wroclaw.gazeta.pl/wroclaw/1,35751,9022221,Jestem_baronem_Niech_chce_dluzej_zyc_w_sredniowieczu.html (dostęp: 30.01.2011).

[2] Treść raportów jest utajniana, jednak na żądanie autor chętnie udostępni treści, na które się tu powołuje.

[3]
http://gazetapraca.pl/gazetapraca/1,111678,8927228,Ile_w_2010_roku_zarabiali_Polacy.html (dostęp: 30.01.2011).

[4] Le Monde Diplomatique – edycja polska, listopad 2010.

[5] amberinvest.org (dostęp: 30.01.2011).

[6] lba.pl (dostęp: 30.01.2011).

[7] Na tego typu statystycznej ekwilibryście bazują wszak także sondaże i raporty.

[8] ibizaicecafe.pl (dostęp: 30.01.2011)

[9] Wprawdzie na stronie lodziarni jest mowa o trzech lokalach, jednak lokalizacja jednego z nich jest wysoce enigmatyczna.

[10] Zob. Randall Stross, Planeta Google, przekł. A. Wojtaszczyk i O. Wojtaszczyk, Studio Emka, Warszawa 2009, zwłaszcza rozdz. „Księżycowy plan”.

[11] Daniel Bensaïd, Wywłaszczeni, przekł.: Z. M. Kowalewski, Książka i Prasa, Warszawa 2010, s. 68-69.

[12] Newsletter Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

[13] Program międzynarodowej oceny umiejętności uczniów.

[14] Daniel Bensaïd, op. cit., s. 71.

[15] Jak od dawna wiemy od Marcusego, efektywność sama w sobie racjonalna nie jest.